



Wolność w klatce

W PRL brakowało wolności obywatelskiej, politycznej, gospodarczej. Chociaż równocześnie byli tacy, którzy mówili, że w PRL można było robić wszystko, byleby zachować dwa warunki: nie podważać – w teorii i w praktyce – przewodniej roli PZPR oraz sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Niektórzy ludzie mieścili się nawet w tych granicach i realizowali na różnych polach. Nie zmienia to jednak faktu, że granice wolności określone w PRL uniemożliwiały normalny rozwój społeczeństwa i kraju. Bo co to za normalność, gdy nie wolno zakładać partii albo związków zawodowych, swobodnie wymieniać idei ani rozwijać wolnej przedsiębiorczości. Dlatego też w PRL nie udawały się kolejne eksperymenty budowania „socjalizmu z ludzką twarzą”, czyli stworzenia

– może podejmować dowolne działania, byleby nie przekraczały one tych dwóch „ustrojowych” granic. Czyż to nie dziwnie znajoma sytuacja?

Nie trzeba być ekspertem, żeby wiedzieć, że nie jest możliwe zlikwidowanie kolejek do leczenia i limitowania świadczeń zdrowotnych (poza niewielkimi enklawami) przy nieograniczonym koszyku świadczeń i ograniczonym budżecie przeznaczonym na jego sfinansowanie. Dlatego i ta próba budowania socjalizmu (tym razem w służbie zdrowia) z ludzką (to znaczy bezkolejkową i bezlimitową) twarzą się nie uda. Tym bardziej że zaprzestania limitowania domagają się kolejne grupy lekarzy i pacjentów. Ostatnio zapadł w tej sprawie ważny wyrok Sądu Najwyższego, który orzekł, że także dializoterapia

„Raz rozbudzone aspiracje obywateli, wzmocnione obietnicami rządzących, trudno będzie zaspokoić byle czym. Nie można obiecywać wolności bez otwarcia klatki”

sprawnej gospodarki, obywatelskiego społeczeństwa oraz praworządnego państwa. Tych celów po prostu nie można było pogodzić z przewodnią rolą PZPR i sojuszem ze Związkiem Radzieckim. Dopiero wyjście poza tak określone granice umożliwiło realizację tego, co w PRL wydawało się nieosiągalne. Stąd płynie ważna nauka: pewnych celów nie osiągnie się bez przekroczenia określonych granic.

Niedawno premier z ministrem zdrowia zapowiedzieli likwidację limitowania leczenia onkologicznego i zmniejszenie kolejek do specjalistów. Cel to pożądanym, ale przecież nie nadzwyczajnym, po prostu koniecznym, aby osiągnąć normalność, powszechnie oczekiwaną przez obywateli. I oto na początku wystąpienia premiera usłyszeliśmy zastrzeżenie, że żadnego zwiększenia nakładów na lecznictwo nie będzie. Nie będzie też dopłat do jakichkolwiek świadczeń zdrowotnych refundowanych z funduszy publicznych. Minister zdrowia – usłyszeliśmy

nie powinna być limitowana, bo jest to świadczenie ratujące życie.

Rządzący zdają sobie sprawę z niemożliwości realizacji swoich obietnic przy zachowaniu obecnego ustroju publicznej służby zdrowia. Dlatego zaraz po hucznej i zdecydowanej zapowiedzi likwidacji limitów w leczeniu raka minister zdrowia przedstawił wiele zastrzeżeń, które tę zapowiedź znacznie stępią: zwoływanie konsyliów specjalistów, konieczność zdiagnozowania i rozpoczęcia leczenia choroby w określonym czasie, wykazanie się przez lekarzy POZ dotychczasową skutecznością w wykrywaniu nowotworów itp. Te proceduralne przeszkody to oczywiście próba zachowania ustrojowego status quo przy pozorowaniu radykalnych zmian. I jest ona – bez wątpienia – skazana na porażkę. Raz rozbudzone aspiracje obywateli, wzmocnione obietnicami rządzących, trudno będzie zaspokoić byle czym. Nie można obiecywać wolności bez otwarcia klatki. ■